Jolanta Tambor

Stanisław Lem - fantasta o genialnej intuicji językowej

Postscriptum nr 1(51), 146-156

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

LEM A JĘZYK

Jolanta Tambor

Stanisław Lem — fantasta o genialnej intuicji językowej

Chciałabym skupić uwagę w tym tekście na językoznawczych aspektach twórczości Stanisława Lema. Lem — fantasta miał wręcz fantastyczną intuicję językową, podobnie — jak w wielu innych dziedzinach nauki. Dlatego wciąż mówi się o nim nie tylko jako o pisarzu science fiction, ale także jako o futurologu, czy czasem wręcz proroku.

Lem opisywał przyszłe światy. Opisywał je wielorako: w formie fabularnej, w esejach, artykułach, fikcyjnych recenzjach, w wywiadach i wypowiedziach dla mediów. Opisując, przy okazji je budował: stwarzał w wyobraźni przyszłe środki techniczne, instytucje społeczne i polityczne, a nawet cale społeczeństwa. A wraz z nimi stwarzał ich nazwy.

Lem wyraźnie hołdował zasadzie, iż nienazwane nie istnieje, a przynajmniej istnieje gorzej, inaczej, nie w pełni — przynajmniej **dla** człowieka. Człowiek, aby mówić o otaczającej go rzeczywistości, a nawet o niej myśleć, potrzebuje nazw. Wiedział o tym już Bóg w Edenie:

> 19. Utworzył więc Pan Bóg z ziemi wszelkie dzikie zwierzęta i wszelkie ptactwo niebios i przyprowadził do człowieka, aby zobaczyć, jak je nazwie, a każda istota żywa miała mieć taką nazwę, jaką nada jej człowiek.
> 20. Nadał tedy człowiek nazwy wszelkiemu bydłu i ptactwu niebios, i wszelkim dzikim zwierzętom...

Lem nazywał wszystko, co stworzył. Tym samym uwiarygodniał iluzję stworzonego świata. Wykorzystywał przy tym właściwie wszystkie znane sposoby wzbogacania słownictwa: tworzenie słowotwórczych neologizmów, budowanie neofrazeologizmów, neosemantyzację i zapożyczanie.

Wszystkie te metody wzbogacania słownictwa używane są i wykorzystywane w żywym języku, we współczesnym świecie. Człowiek musi nazywać, by móc opisać otaczającą go rzeczywistość. Nominacja jest jedną z podstawowych czynności człowieka. Jeśli bowiem człowiek w imię swego człowieczeństwa, rozumnego oglądu świata, co różni go od zwierząt, musi się komunikować i porozumiewać, to musi dysponować odpowiednimi środkami w celu owego porozumienia. Mówiąc o porozumieniu, mam na myśli tzw. potocznie: porozumienie pełne. Czyli to, co w semantyce nazywa się kontaktem językowym utożsamionym z komunikacją. Jest to więc taki proces, w którym dochodzi do całkowitego, niezakłóconego, zgodnego z intencjami nadawcy porozumienia, a więc proces, który zgodnie z określeniami Lyonsa jest jednocześnie komunikatywny, bo znaczący dla nadawcy, i informatywny, bo znaczący dla odbiorcy:

> Przy pewnym dość powszechnie stosowanym uproszczeniu przyjmuje się, że to, co komunikuje nadawca (czyli informacja niejako wkładana w sygnał przez nadawcę na skutek wyboru jednej z istniejących możliwości) oraz informacja czerpana z sygnału przez odbiorcę (którą można sobie wyobrazić jako dokonany przez niego wybór jednej spośród tychże możliwości) są identyczne[1].

Aby tak rozumiane porozumienie mogło zaistnieć, muszą zostać stworzone ku temu niezbędne warunki i środki. Dla dysponowania pełnym arsenałem takich środków stale musi się dokonywać proces nominacji w języku, który polega na „tworzeniu jednostek językowych pierwszego rozczłonkowania, przede wszystkim wyrazów i frazeologizmów, służących do nazywania i wyodrębniania fragmentów rzeczywistości”[2]. Bardzo wyraźnie konieczność nominacji (w sposób jakby odwrócony) pokazywał i postulował George Orwell w swoim *Roku 1984*. Władcy stworzonego przez niego powieściowego społeczeństwa wychodzili z założenia, opartego zresztą na realnej hipotezie Sapira-Whorfa, iż nie da się pomyśleć tego, co nie ma swojej nazwy. Dlatego oni w oficjalnym języku Oceanii usuwali zbędne, niepoprawne politycznie słowa, wierząc, że w ten sposób usuną niebezpieczeństwo czynienia przez ludzi pewnych rzeczy. Bo nienazwane nie istnieje. Lem pokazuje drugą stronę tego samego medalu. Żeby mogło istnieć, musi mieć nazwę. Musi móc być wyodrębnione z otaczającego świata, a w tym celu musi móc być nazwane.

---

[1] J. Lyons, *Semantyka 1*, Warszawa 1984, s. 36.

[2] *Encyklopedia językoznawstwa ogólnego*, red. K. Polański, Wrocław 1999, s. 396.

Ostatnie lata przynoszą możliwość obserwowania różnorodnych technik i metod nominacji w spotęgowanej postaci. Nazwy przyrastają już chyba w postępie geometrycznym. Dzieje się tak na całym świecie z uwagi na gwałtowny wzrost postępu technicznego i cywilizacyjnego. W Polsce i w innych krajach byłego bloku komunistycznego sytuacja wydaje się jeszcze bardziej zhiperbolizawana z powodu zmian ustrojowych. Przed 1990 rokiem do wielu dóbr i elementów rzeczywistości nie mieliśmy dostępu. Tzw. Zachód, czy raczej należałoby powiedzieć po prostu: kraje wysoko rozwinięte (bo trudno Japonię nazywać Zachodem), oswajały się z wieloma zjawiskami (jak choćby przysłowiowa i symboliczna wręcz informatyzacja) powoli i miały zdecydowanie więcej czasu na w miarę spokojne i systematyczne nadawanie nazw. My spory fragment rzeczywistości otrzymaliśmy nagle, gwałtownie i w ilościach hurtowych. I aby tę nagle pozyskaną rzeczywistość oswoić, musieliśmy natychmiast i gwałtownie jej składniki ponazywać. Stąd zresztą tak duży przyrost w naszym języku w ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku anglicyzmów (może należałoby powiedzieć — amerykanizmów), które dużej liczbie Polaków spędzały sen z powiek. Niewielu, jak profesor Irena Bajerowa, historyk języka, która z racji swych zainteresowań ma perspektywę „długiego trwania", potrafiło spojrzeć na te zjawiska z dystansu i ze spokojem stwierdzić, że „nie dzieje się nic, czego by już wielokrotnie w języku nie było; a język obroni się sam". Obronił się. Spośród tego początkowego zalewu część zjawisk językowych została: chyba już na długo ang. *sorry* zastąpiło z pochodzenia francuskie, ale dla mojego pokolenia już nasze, rodzime *pardon*, młode pokolenie wyrzuciło zadomowiony francusku *makijaż* na rzecz *make upu*, zostanie, rzecz jasna, *komputer* i *Internet*, a najprawdopodobniej też *interfejs*, *dżojstik*, *piling* i *lifting*, ale z kolei zniknęły z języka całkowicie potworki z początku lat 90. typu *sejwować*, ustępując miejsca rodzimym *zachować*, *zapisać*, ustąpiło *printować* na rzecz *drukować*, czy *kanselować* na rzecz *anulować*. Ruszyły rodzime procesy nominacyjne. Wprawdzie „najpierw powoli, jak żółw ociężale...", ale w końcu nabrały tempa. Ożywiły się stare sufiksy, które wydawały się obumierać w latach 70. i 80. tamtego wieku. Jednym z nich, sztandarowym, chciałoby się powiedzieć, jest sufiks *-arka*, który służył w czasach powojennych do nazywania takich maszyn jak *koparka*, *frezarka* itp. Nie tworzył urządzeń związanych z technikami wysokozaawansowanymi. Aż tu nagle pojawiły się: *drukarka*, *przeglądarka*, *wyszukiwarka*, *zmieniarka*, *nagrywarka*, *wypalarka*, *niszczarka*, *kopiarka*, *ładowarka*. Powstają nowe sufiksy na zasadzie oddzielania się pewnych cząstek od wyrazów. Dzieje się to w różny sposób. Jeden z nich to usamodzielnienie się na gruncie języka polskiego sufiksu, będącego tymże właśnie sufiksem w języku podstawie, z którego

wyraz w całości został zapożyczony. Tak stało się z sufiksem *-ing*. Nie ulega wątpliwości, że jeszcze niedawno takiego sufiksu w języku polskim nie było, że wyrazy typu: *parking*, *kemping*, *lifting*, *monitoring* były w całości traktowane jako zapożyczenia z języka angielskiego. Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, iż taki sufiks już jest, skoro przeciętny rodzimy użytkownik języka buduje następujące stosunki motywacyjne:

parking to miejsce, gdzie można *parkować*,

monitoring to to, że ktoś coś *monitoruje*,

sponsoring to to, że ktoś coś *sponsoruje*,

czyli spełnia taką samą funkcję jak *-anie* (nazwy czynności), czy *-nik*, *-isko*, *-arnia* itp. (nazwy miejsc). O tym, że rzeczywiście sufiks się uwolnił i działa samodzielnie, świadczy możliwość tworzenia takich efemerycznych nazw, jak *szajning*, czyli wieczór poświęcony Józefowi Szajnie, czy *drzewing* — primaaprilisowy dowcip telewizyjny, w którym tak nazwano nowy ponoć sposób spędzania czasu wolnego przez biznesmenów w miejsce przestarzałego już *joggingu*.

Inny sposób powstawania nowych produktywnych i żywych cząstek wyrazotwórczych można pokazać na przykładzie serii: *alkoholik*, *pracoholik*, *seksoholik*, *zakupoholik*, *siecioholik*. Pierwszy z serii, istniejący w języku od kilkudziesięciu lat wyraz *alkoholik* został zbudowany sufiksem *-ik* od podstawy *alkohol*. Gdyby więc zastosowano ten sam system do tworzenia serii wyrazów o znaczeniu ‘człowiek chorobliwie uzależniony od... pracy, seksu, zakupów...’ powstałyby nazwy: *pracyk*? *seksyk*? *zakupyk*? Bezsensowne, brzydkie i bardzo słabo znaczące. Cząstka *-holik*, w której nastąpiła absorbcja części podstawy słowotwórczej jest natomiast ostra, widoczna, wyrazista i dla ogółu mówiących — co istotne — znacząca! To w niej upatrujemy znaczenia ‘chorobliwie uzależniony’. Zabieg więc uprawniony, skoro prowadzi do ekonomicznie uzasadnionego wzrostu porozumienia. Bo dążność do ekonomii językowej, wyrażającej się w precyzji i skrótowości, jest jednym z podstawowych kryteriów oceny innowacji językowych.

Warto wreszcie wskazać, szczególnie żywy w języku młodzieżowym, proces tworzenia neologizmów za pomocą starych polskich sufiksów od podstaw obcych. Te rodzime sufiksy tym samym jakby „zeswojszczają” te nazwy:

debeściak < the best

debeściara > beściara < the best

sorki < sorry

kibordzista < keyboard

lajtowo < light

superowo < super.

Czy te nazwy są ekonomiczne? Na pewno spełniają rolę odświeżania i innowacyjności, tak ważną w języku młodego pokolenia. Młodzi zawsze odczuwali i odczuwać będą potrzebę funkcjonowania w kulturze nieco odmiennej od tej, która charakteryzuje pokolenie ich rodziców, dziadków, pokolenie „zgredów". Jednym z ważnych, czy pewnie należałoby powiedzieć najważniejszych, składników tej kultury jest język.

Te wszystkie sposoby zaobserwował, przewidział lub intuicyjnie wyczuł Lem. Jego intuicja językowa jest doskonała. Nie skończył polonistyki, nie prowadził żadnych studiów językowych. Na to zapewne zabrakło mu czasu. Jego doba też miała tylko 24 godziny. A interesował się polityką, teorią literatury, filozofią, biologią, cybernetyką, astronomią, postępami techniki, medycyny, biotechnologii itd., itd. Więc jasne, że z czegoś zrezygnować musiał. A jednak przyszłościowy, stworzony przez niego język, oraz opisy sposobu jego powstawania są idealne. Przystają w pełni do procesów i faktów rzeczywistych. Lem imituje nawet dyskusje wokół nowego języka, imituje system myślenia językoznawców, fachowców z danej dziedziny i tzw. przeciętnych użytkowników języka wokół nowych terminów, nazywających nowo wynalezione czy nowo odkryte fakty z rzeczywistości.

Jednym z najbardziej klasycznych przykładów językowych rozważań Lema jest opis powstawania terminologii solarystycznej i kontrowersji narastających wokół tejże terminologii. Zacytuję odpowiedni fragment z *Solaris*:

> Giese nie był ani jednym ani drugim. Był po prostu klasyfikatorem-pedantem z gatunku tych, których zewnętrzny spokój osłania pochłaniającą całe życie, niezmordowaną zaciekłość pracy. Jak długo mógł posługiwał się po prostu językiem opisu, a kiedy brakło mu słów, radził sobie, stwarzając nowe słowa, często niefortunne, nie przystające do opisywanych zjawisk. Ale w końcu żadne terminy nie oddają tego, co się dzieje na Solaris. Jego „górodrzewy", jego „długonie", „grzybiska", „mimoidy", „symetriady" i „asymetriady", „pacierzowce" i „chyże" brzmią szalenie sztucznie, dają jednak jakieś wyobrażenie o Solaris nawet tym, ktorzy oprócz niewyraźnych fotografii i nader niedoskonałych filmów nic nie widzieli. Oczywiście, i ten sumienny klasyfikator zgrzeszył niejedną nieostrożnością. Człowiek stawia hipotezy zawsze, nawet kiedy się ma na baczności, nawet kiedy o tym nie wie. Giese sądził, że „długonie" stanowią formę zasadniczą i zestawiał ją z wielokrotnie powiększonymi i spiętrzonymi falami przypływowymi ziemskich mórz. Kto zresztą kopał się w pierwszym wydaniu jego dzieła, wie, że pierwotnie nazwał je właśnie „przypływami", natchniony geocentryzmem, który byłby śmieszny, gdyby nie jego bezradność. Są

> to przecież — jeśli już szukać porównań na Ziemi — formacje rozmiarami przekraczające Wielki Kanion Colorado, wymodelowane w tworzywie, które ma z wierzchu konsystencję galaretowato-pienistą (przy czym piana ta zastyga w olbrzymie kruszące się łatwo festony, w koronki o olbrzymich okach, i nawet niektórym badaczom przedstawiała się jako „szkieletowate narośle") — w głębi zaś zmienia się w substancję coraz bardziej jędrną, jak napięty muskuł, ale muskuł przekraczający rychło, na głębokości kilkunastu metrów, twardość głazu, choć nadal zachowujący elastyczność[3].

Lem odtwarza w tym fragmencie proces powstawania terminologii. Używa sufiksów rodzimych: *-owiec*, *-isko* i obcych: *-ada*, *-oid*. Sufiks *-oid* jest np. typowym obcym przyrostkiem do tworzenia nazw nosicieli cech w funkcji terminologicznej. W realnym języku tworzy głównie terminy chemiczne, biologiczne i matematyczne. Cechuje go w języku słaba produktywność, ograniczona właściwie tylko do tworzenia kolejnych terminów. Obcy sufiks *-ada* wykorzystywany bywa do tworzenia nazw nosicieli cech. A takie są właśnie Lemowe *symetriady* i *asymetriady*. To twory charakteryzujące się tym, że są *symetryczne* i *asymetryczne*. Wreszcie rodzime przyrostki tworzą u Lema terminy zbudowane jako derywaty asocjacyjne (takich również wiele w naszym języku: *bielinek*, *cytrynek*): czyli *pacierzowiec* i *grzybisko* — 'twór jak ogromny grzyb'. Zresztą ostatni przykład bliski jest procesowi neosemantyzacji: wszak *grzybisko* to 'ogromniasty grzyb' także w języku codziennym, potocznym. I można uznać, że tej nazwie, będącej po prostu zgrubieniem, *augmentativum*, nadaje właśnie Lemowy bohater, naukowiec-klasyfikator, nowe terminologiczne znaczenie. I to typowy proces w powstawaniu terminologii. Neosemantyzacja jest czynnikiem sprawczym takich choćby terminów jak *ekran* w fizyce, czy *zdrobnienie* w językoznawstwie.

Lem, budując swoje fantastyczne przyszłościowe światy, tworzył wiele neologizmów, wykorzystując wskazaną już derywację sufiksalną: *opton*, *lekton*, *glider*, *ulder*, ale też i inne sposoby derywowania, jak choćby derywację paradygmatyczną, czyli zmianę sposobu odmiany: *mut* < *mutować*, *czyst* <*czyścić*, *adapt* < *adaptować*, jak w realnym języku *bieg* < *biegać*, *skok* < *skakać*, *czołg* < *czołgać* czy *rys* < *rysować* i ucięcia, dezintegrację, tak charakterystyczną dla współczesnego języka młodzieżowego z jego: *spoko*, *nara*, *impra*, *muza*, *kolo* i *pozdro*. U Lema znajdziemy *real* < *realny*, *lab* < *laboratorium* czy *plast* < *plastyczny*. Zresztą *real* — stworzony przez Lema — tożsamy jest w brzmieniu z dzisiejszym wyrazem *real*, który powstał w języku jako nazwa realnego świata, będąca antonimem do wirtual-

[3] S. Lem, *Solaris. „Niezwyciężony"*, Kraków 1986, s. 128-129.

nej rzeczywistości, którą oferuje nam powszechna informatyzacja i multimedializacja. Czy wyraz ten powstał na nowo, czy może wprowadził go do języka jakiś fan twórczości Lema, tego pewnie nie uda się roz-strzygnąć. Można jednak przypuszczać, że każdy miłośnik Lema, który usłyszy polskie zdania: „to zdarzyło się w realu", „spotkaj się z kolegami, pobądź choć trochę w realu", na pewno usłyszy w nich oddźwięk Lemowych światów i uzna je za kolejne spełnione proroctwo pisarza.

Lem świetnie też wyczuwał gwałtowny przyrost w terminologii — szczególnie technicznej — tzw. złożeń jednostronnie motywowanych, czyli takich, których jeden człon jest elementem powtarzalnym, najczęściej pochodzenia obcego. Są wśród nich np. złożenia z *-log/-logia*: *planetolog*, *symetriadolog* (jak *biolog*, *filolog*, *stomatolog*), *-drom/-dromia*: *transgalaktodromia* (jak *kosmodrom*, *hipodrom*), *aero-*: *aeromobil* (jak *aerodynamika*), *tele-*: *teletrans*, *teleport*, *telethon*, *teleran*, *teletaksja*, *telewizyta*, *telesondy* (jak *telewizja*, *telekomumikacja*).

Wydawałoby się, że Lem tylko naśladowczo imituje to, co się dzieje wokół niego, ale pamiętajmy, że powieści, z których pochodzą wszystkie cytowane wyrazy i słowa: *Solaris*, *„Niezwyciężony"* i *Powrót z gwiazd* zostały napisane 40 lat temu, gdy nie było na świecie nie tylko sporej części tu obecnych, ale może i części ich rodziców. To czasy, gdy o takiej technice, takim rozwoju nauk prawie nikt jeszcze nie śnił. Prawie nikt, bo wszak znalazł się pisarz, fantasta, który o tym marzył i swoje marzenia nazywał.

Warto tu jeszcze wspomnieć o innego typu Lemowych neologizmach, o takich, które pojawiają się w jego groteskach i baśniach. To np. nazwy ciał niebieskich: *natągwie*, *nupajki*, *nurkownice*, *nędzioły*, *nałuszki*, *niedostópki*, *nędasy*, *kambuzele*, *ściśnięta*, *wytrzopki*, *gryzmaki*, *rymundy*, *trzepce*, *pćmy*, *graszaki*, *plukwy*, *filidrony*, *zamry*. Tylko dla niektórych spośród nich moglibyśmy poszukiwać mechanizmów typowych dla terminów z Lemowej fantastyki naukowej serio. Często należą one jakby do nominacji bezpośredniej, czyli są to wyrazy całkowicie nowe, które nie zostały zbudowane z istniejących elementów leksykalnych, lecz są w zasadzie formacjami sztucznymi. Do takich należą zapewne niekojarzące się z niczym *nupajki*, *rymundy* czy *wytrzopki* i na pewno *pćmy*. Dla nazwy ostatniej, podobnie jak dla nazwiska jednego z głównych bohaterów *Bajek robotów* — *Trurla*, podstawową zasadą powstania było zestawienie głosek, stworzenie grupy spółgłoskowej niemożliwej w języku polskim. Niemożliwe bowiem jest w języku polskim połączenie dwóch spółgłosek sonornych: drżącej i bocznej i niemożliwe jest zgrupowanie *pćm*. Mamy wprawdzie miasto *Pcim*, z trudną zbitką spółgłoskową, ale to jednak tylko zbitka dwuspółgłoskowa. Lem konwencję groteskowej baśni wykorzystał doskonale. Czujemy nieziem-

skość, nieaktualność, zupełną nierealność świata stworzonego w opowiadaniu. Świata, który zresztą wedle autora już nie jest? / nie będzie? możliwy do oglądania przez nikogo, bo na naszych oczach zgodnie z wolą Lema, przestał / przestanie istnieć:

> Świat wyglądał wręcz przeraźliwie. Zwłaszcza ucierpiało niebo: widać było na nim ledwo pojedyncze punkciki gwiazd; ani śladu prześlicznych gryzmaków i gwajdolnic, które tak dotąd upiększały nieboskłon!
> — Wielkie nieba! — zakrzyknął Klapaucjusz. — A gdzie są kambuzele? Gdzie moje murkwie ulubione? Gdzie pćmy łagodne?".
> Tak to swoje zadanie wykonała maszyna, której kazano zrobić NIC[4].

No, właśnie. I tu dotykamy kolejnych intuicyjnych zdolności językoznawczych Lema. Zdolności na poziomie wyższym niż leksyka. Na poziomie składniowo-semantycznym. Lem świetnie rozumiał możliwości języka, możliwości uprawiania zabaw i gier słownych dzięki operowaniu wieloznacznością, polisemią, ale też przekształceniom składniowym, tekstowym. Przytoczę fragment opowiadania *Jak ocalał świat*:

> — Ale oto trzeci rozkaz: Maszyno! Masz zrobić Nic!
> Maszyna przez dłuższy czas w ogóle się nie ruszała. Klapaucjusz jął zacierać z zadowolenia ręce, Trurl zaś rzekł:
> — O co ci chodzi? Kazałeś jej nic nie robić, więc nic nie robi!
> — Nieprawda. Kazałem jej robić Nic, a to co innego.
> — Też coś! Zrobić Nic, a nie zrobić nic, znaczy jedno i to samo.
> — Skądże! Miała zrobić Nic, a tymczasem nie zrobiła nic, więc wygrałem. Nic bowiem, mój ty przemądrzały kolego, to nie takie sobie zwyczajne nic, produkt lenistwa i niedziałania, lecz czynna i aktywna Nicość, to jest doskonały, jedyny, wszechobecny i najwyższy Niebyt we własnej nieobecnej osobie!
> — Zawracasz głowę maszynie! — krzyknął Trurl, lecz naraz rozległ się jej spiżowy głos:
> — Przestańcie się kłócić w takiej chwili! Wiem, co to Niebyt, Nicość, czyli Nic, ponieważ te rzeczy należą do klucza litery *n*, jako Nieistnienie. Lepiej po raz ostatni przyjrzyjcie się światu, bo wnet go nie będzie...[5]

---

[4] S. Lem, *Jak ocalał świat*, w: tegoż, *Cyberiada*, Chotomów 1991, s. 108-109.
[5] Tamże, s. 109.

Nie umiem powiedzieć, na ile przetłumaczalna jest na inne języki zastosowana tu gra słowna: „**robić Nic**, to nie znaczy **nic nie robić**". Czy angielskie: „**to do Nothing** is not the same as **not to do anything**" znaczy aby to samo, co polskie zdanie? Zapewne mniej więcej. Można się owych znaczeń domyślić, można je w wieloznaczności angielskiego „to do Nothing" odnaleźć, odczytać, zrekonstruować. Ale nie jest ona tak jednoznacznie wyrafinowana, jak w polskim tekście. Po polsku bowiem w konstruowaniu tej gry pomaga gramatyka, gdyż język polski ma zasadę tzw. podwójnego przeczenia. „Nie robić nic" w sensie „lenistwa i niedziałania" wykorzystuje partykułę „nie" przy czasowniku, „robić Nic" w sensie „czynnego i aktywnego" produkowania „czynnej i aktywnej" Nicości = Niebytu owej przeczącej partykuły przy czasowniku nie ma i mieć nie może. Lem zbudował sytuację groteskową: z powodu sporu językowego / językoznawczego o mało co zniknąłby świat, bo konstruktorzy, zacietrzewieni w rozstrząsaniu znaczenia zdania z podwójnym i pojedynczym przeczeniem, nie zdążyliby o mały włos zatrzymać maszyny. Czy to nasz świat sprzed zniknięcia na zawsze *pciem* i *kambuzeli*. Nie wiemy, bo przecież maszyna spokojnie mogła przywrócić do istnienia *nupajki* i *nędzioły* skoro były na „n". My ich nie znamy. Więc pewnie to legenda ze świata alternatywnego lub przyszłościowego. Choć, jeśli z rozpaczy i złości. konstruktorzy zrezygnowali z przywracania wszystkiego, co „ludzka" zawiść Klapaucjusza zniszczyła, to możemy uznać, że to legenda z przeszłego, poprzedniego świata i dlatego my dziś nie znamy „prześlicznych gryzmaków i gwajdolnic" oraz „łagodnych pciem".

Groteska rządzi się swoimi prawami, więc np. w przypadku *Bajek robotów* oglądamy świat całkiem bliski naszemu. Wydaje nam się, że z Trurlem i Klapaucjuszem moglibyśmy usiąść przy kawie albo przy piwie i porozmawiać. W fantastyce naukowej serio Lem swoje światy alternatywne, przyszłościowe czy rozwijające się na odległych planetach w odmiennych warunkach buduje na innych zasadach. Tu musimy wrócić do kwestii kontaktu, czyli komunikacji, czyli porozumienia. Fundamentalne dla *hard* science fiction Lema pytanie brzmi: czy porozumienie między takimi światami jest możliwe?

Złudne jest przekonanie, że ludzie przystosowują się do rzeczywistości zasadniczo bez użycia języka, który jest tylko przypadkowym i ubocznym środkiem rozwiązywania szczegółowych problemów komunikowania się i myślenia. Sprawa przedstawia się nawet tak, że świat realny jest w znacznym stopniu budowany nieświadomie na podstawie nawyków językowych grupy. Nie ma takich dwóch języków, które byłyby na tyle do siebie podobne, aby można sądzić, że wyrażają taką samą rzeczywistość społeczną. Światy,

w których żyją różne społeczeństwa, to światy odrębne, a nie po prostu ten sam świat, któremu przylepiono różne etykietki... Jak pisze Adam Schaff:

> Dochodzimy tu do nowej zasady relatywizmu: postrzegający nie utworzą sobie tego samego obrazu świata na podstawie tych samych faktów fizycznych, jeśli ich zaplecza językowe nie są podobne lub przynajmniej porównywalne[6].

To dotyczy nawet dwóch społeczeństw na tej samej Ziemi. Lem więc konsekwentnie udowadnia niemożność porozumienia między dwiema cywilizacjami o całkowicie odmiennych uwarunkowaniach fizycznych, psychicznych, społecznych i, co się z tym wszak wiąże, językowych. Pojęcie „językowych" jest tu oczywiście użyte w pewnym sensie symbolicznym, gdyż chodzi w przypadku science fiction o działania kontaktowo-komunikacyjne za pomocą systemu znaków, które z naszym rozumieniem języka jako systemu dwuklasowego mogą mieć bardzo niewiele wspólnego, albo nawet mogą nie mieć nic wspólnego.

Na pytanie, czy znaki z dwóch różnych języków z odległych planet mogą znaczyć kiedyś to samo, musimy odpowiedzieć kolejnym pytaniem: Co znaczy „znaczy"? Sygnał informatywny niekoniecznie musi być komunikatywny. I, rzecz jasna, odwrotnie. Co jest ważniejsze? Co bardziej istotne? To podstawowe pytanie w wielu światach powieściowych Lema, w tym także w najbardziej dziś chyba, m.in. dzięki filmowi, znanej powieści *Solaris*. Tego dylematu badacze oceanu w *Solaris* nie rozstrzygnęli. To już materiał do przemyśleń dla czytelnika. Lem dał wiele różnorakich przesłanek, ale skonstruowanie, zbudowanie na nich pewnej sensownej całości pozostawił inteligencji odbiorcy.

Rozważaniami na ten temat zamknął również pisarz powieściową część swej twórczości. Kończy jego powieściopisarską drogę *Fiasko*, którego tytuł jest symbolem i zwieńczeniem wskazanego nurtu twórczości pisarza. Nurtu, w którym wyraz *fiasko* i jego bliskoznaczniki przewijają się natrętnie. Nurtu, którego wymowa jest w końcu pesymistyczna: nie pozwala mieć nadziei na nieograniczoność poznania ludzkiego, nie pozwala liczyć na komunikację i porozumienie z obcym i niewiadomym. Obce i niewiadome ma na zawsze pozostać obce i niepoznane. *Fiasko* jest też reinterpretacją i przewartościowaniem, przeniesieniem rozważań na inną płaszczyznę. Lem rezygnuje z wyeksploatowanej powierzchni zjawiska, czyli wskazywania wzajemnej nieprzekładalności kodów, nieujednoznacznienia znaków tychże kodów, a na-

---

[6] J. Lyons, *Semantyka 1*, dz. cyt., s. 18.

wet niemożności wyodrębnienia pojedynczych znaków. Kod został uzgodniony. Nastąpiło to dzięki wykorzystaniu uniwersaliów fizjologiczno-kulturowych[7]. Do tego celu wykorzystano mit, a właściwie ciąg mitów o Ziemi, Słońcu, Księżycu i ludziach (stworach o wyprostowanej postawie).

Lem jest sceptykiem. Pomimo ujednolicenia pełnej odpowiedniości kodu nie osiągnięto:

> Wiele kłopotów wynikło przy zgłębianiu owych terminów. Nazewnictwo ludzi i Kwintan pokrywało się tym gorzej, im wyższej sięgało abstrakcji. Takie hasła jak „władza", „neutralność", „stronność", „gwarancja" nie ujednoznaczniły się czy to od siły wyższej, jako zasadniczej odmienności dziejów historycznych, czy od wpełzającej w porozumienie premedytacji. Zresztą i premedytacja niekoniecznie równała się chęci zwodzenia i oszukiwania, jeżeli uwikłana w stuletnią wojnę Heparia nie była swobodna ani suwerenna w danej zgodzie i nie chciała lub nie mogła zdradzić tego „Hermesowi". Bodaj i tu, jak sądziła większość załogi, kryła się wypadkowa zmagań trwających na planecie od tylu pokoleń, że ukształtowały zarówno język, jak i sposób myślenia[8].

To literacka wykładnia zasady relatywizmu językowego wyłożona wprost. W tym wypadku tekstu Lema nie trzeba interpretować. Wystarczy go przyjąć obiektywnie. Potraktować fragment powieści jak fragment książki popularno-naukowej.

Wielki żal, że Stanisław Lem nie napisze już niczego. Wiele moglibyśmy się od niego jeszcze nauczyć. Mógłby nadal tworzyć nowe światy i opisywać je nowym językiem.

W obecnej sytuacji możemy tylko analizować i dopasowywać do rzeczywistości to, co „wyfantazjował". W obecnej sytuacji możemy go tylko podziwiać. Podziwiać jego dzieła, których materią w każdy sposób i w każdym wymiarze jest język.

Dr **Jolanta Tambor** pracuje w Uniwersytecie Śląskim w Katowicach w Zakładzie Językoznawstwa Pragmatycznego Instytutu Języka Polskiego oraz w Szkole Języka i Kultury Polskiej.

[7] Czy takie istnieją rzeczywiście? Może pokaże to przyszłość i reakcja Kosmosu na naszą ziemską plakietkę wysłaną w kosmos właśnie.

[8] S. Lem, *Fiasko*, dz. cyt., s. 358.